

## Góra Tabor (fragment powieści)

I Poranny wykład przebiegł interesująco i podchorążowie udali się już na ćwiczenia terenowe na Bielany. Został sam w gabinecie i robił bieżące notatki po spotkaniu z przyszłymi oficerami, taki miał zwyczaj, a poza tym prosił go dowódca, żeby robił krótkie opisy wyróżniających się studentów. Śmiał się przy tym w duchu, przypominając sobie wykład, że mimo dokładnego konspektu nie udało mu się precyzyjnie przeprowadzić wszystkich wątków, gdyż młodzi słuchacze zarzucili go pytaniami, dotyczącymi bliższych czasów. Najpierw o regulaminy, nad którymi pracował, kiedy skończy i dlaczego są dla niego takie ważne, a on odpowiadał, że Komendant Piłsudski go o tym przekonywał, jeszcze wtedy, gdy był chłopcem i brał udział w ćwiczeniach strzelców w Skniłowie niedaleko Lwowa, i powtarzał im wówczas, że bez dobrych regulaminów armia nie może istnieć. A ćwiczyli marsz ubezpieczony i bój spotkaniowy, a prowadził te zajęcia osobiście sam Komendant, w czasie Zielonych Świąt to było, dwunastego maja, trzynastego roku - brodę miał i wąsy, i był w szarym stroju Strzelca.

- Trzyście lat, trzyście lat minęło... - myśl przez głowę przeszła mu szybka i zaraz odeszła, bo następne pytania już go nagliły:

- A jak to było z tą defiladą?...

- Szliśmy na cmentarz Łyczakowski, prowadził nas Piłsudski, a za nim szedł Sosnkowski... i my potem z wieńcami, aby je położyć na grobach powstańców styczniowych... w pięćdziesiątą rocznicę wybuchu... A miasto się tylko przyglądało.

- A niech pan kapitan opowie nam jeszcze o tym spotkaniu z Marszałkiem, jak szliście znad Wieprza... w dwudziestym!...

Roześmiał się znowu na wspomnienie zajęć, bo przecież opowiadał im ten epizod już nie raz, a oni, wiedząc, że lubi ten moment swojego życia, wykorzystywali to i bawili się tym. Nie przeszkadzało mu to jednak. Musiał im obiecać, że znowu opowie o kilku szczegółach następnym razem...

Tramwaj jechał powoli, mocno zazgrzytały koła na zakręcie, aż zasłonił uszy dłońmi, nie lubił takich ostrych dźwięków. Myślami wrócił do regulaminów, niedługo musi skończyć tę niewdzięczną i zazwyczaj nudną pracę. I choć sam nie lubił tych z pozoru bezdusznych zasad i mechanicznych poleceń, to jednak również uważał, że dobry regulamin to podstawa porządku. Starał się więc, aby był zrozumiałym językiem napisany, a gdy mu przychodziło opracować

nieładzką komendę, tak sobie nazywał te o precyzyjnym zabijaniu, słyszał nagle w głowie słowa swego ojca - wszystko co robisz, rób dobrze, nawet to, czego nie lubisz robić! I gdyby nie wiem co czynił, a przecież unikał myślenia o ojcu, i wiele myślał o tym, żeby pozbyć się go ze swoich wspomnień, ten jednak wracał, w najbardziej nieoczekiwanej chwili. Jak bolesna zadra z przeszłości. I nie mógł sobie z tym uczuciem poradzić, choć Marion prosiła go, aby próbował. Czasami myślał, że teraz ojca zastąpił mu Marszałek, zawsze potrzebny mu był prawdziwy autorytet. Może dlatego, że tak wiele czasu spędzał w dzieciństwie z matką.

Tramwaj zatrzymywał się co chwila, gdyż zrobił się zator. Janio wyjrzał przez otwarte drzwi i zobaczył stojące przed nimi wagony, i zaniepokoił się trochę, nie chciał się spóźnić na następne zajęcia. Komunikację z całym miastem mamy teraz znakomitą, pomyślał, aż pięć linii do wyboru jeździ Alejami Ujazdowskimi, spod samej szkoły niemal, więc korzystając z przerwy między wykładami, pośpieszył do znajomego fotografa, aby odebrać zdjęcia, które zrobił w czasie podróży do Ziemi Świętej. Dobrze, że Marion mu o tym przypomniała, gdyż minęło kilka dni i zdjęcia czekały na niego gotowe. Przejrzał je pośpiesznie jeszcze w studio fotograficznym i bardzo mu się spodobały, uderzyły go bowiem jasnością i tajemniczym ciepłem, tak mu się przynajmniej wydawało, tylko te spod góry Tabor nie udały się, wyszły zamazane, jakby we mgle utopione. Na jednym twarz żony była trochę wyraźniejsza, lecz w smutku pogrążona, a w tle nawet zarys wzniesienia było widać przez chmury. To było wtedy, gdy podjęli decyzję, że muszą zrezygnować z wejścia, przypomniał sobie ten moment, musieli wracać do Polski.

Tramwaj ruszył, lecz niedaleko ujechał i znowu przystanął. Postanowił wysiąść, aby pobiec w stronę szkoły, ale konduktor zatrzasnął drzwi i ponownie posuwali się powoli do przodu. Dwaj mężczyźni siedzący przed nim toczyli głośną rozmowę, więc chcąc nie chcąc, słyszał o czym mówią. Jechali tramwajem z konieczności, bo samochód im się zepsuł i kierowca odstawił go do warsztatu, a oni śpieszyli się na ważne polityczne spotkanie i pomyśleli, że tramwajem będzie szybciej niż dorożką, ulice bowiem były o tej porze mocno zatłoczone. Jeden opowiadał, że wrócił właśnie z Brukseli i tam ciężkie chwile przeszedł na zjeździe Ligi Narodów...

- Otóż, wystaw sobie - mówił do tego drugiego - że sześcioma głosami przeszła niekorzystna dla Polski uchwała w sprawie miejsca w Radzie. I nie będzie tam nas! A na tym nie koniec nieszczęść... Takie same uchwały, nieprzychylne, zrobili w Zurychu na zjeździe międzynarodówki! Wiesz o tym już?...

- To jest banda, ci przyjaciele z Ligi... - narzekał jego rozmówca i mówił podniesionym głosem: - Ciężki nasz los... polskich socjalistów. Tu nam wymyślają od bolszewików, zdrajców,

a na szerokim świecie biorą za nacjonalistów!

- To prawda, to wiemy... gorzej, że mówią po cichu w Brukseli, za plecami, że jesteśmy z kraju, co to twierdzą jest papizmu... I to jest główny powód niechęci... I opinia ta, przecie niesprawiedliwa, przeciwko nam jednocy żydowski żywiół, ale i cały świat protestancki... A cóż my możemy poradzić, że naród jest ciemny?!

A potem ściszyli głosy i jeszcze dotarły do Jania pojedyncze słowa:

- ... jacyś oficerowie z Wilna przyjechali... obić ministra chcieli... zatrzymali samochód, jak wysiadał... Pod jego domem...

I zaraz opuścili tramwaj, i widział ich Janio jak szli w stronę Alei Szucha, szeroko gestykułując. Pomyślał wtedy ze zdziwieniem, że mało się ostatnio interesował polityką. Dopiero wczoraj, gdy któryś z kolegów zostawił w szkole, w pokoju oficerskim podarty egzemplarz „Kurier Porannego”, z komentarzem, że w nim też nie ma wywiadu z Piłsudskim - a cały poprzedni numer skonfiskowano - uśmiechnął się Janio i przypomniał sobie, że przecie wokół toczy się normalne życie. A Marszałek mówił, nie pierwszy już raz, o rozwydrzonych partiach, które niszczą państwo i pamiętają tylko o groszu i swoich korzyściach. I wszyscy wiedzieli, że to premier Witos nakazał konfiskatę, bo prawda w oczy go ubodła, zresztą od dawna nie lubili się z Marszałkiem... Cóż, nie moja to sprawa, nie jestem politykiem - zmiął gazetę i wyrzucił ją do kosza.

Tramwaj ruszył z przystanku na Placu na Rozdrożu, więc podniósł się, aby przejść do drzwi, wreszcie był na miejscu. Zdążył jeszcze spojrzeć w stronę kamienicy, gdzie mieszkali, i wydawało mu się, że widzi jak Marion stoi na parapecie i myje okna - znowu się uśmiechnął na myśl o niej, nigdy nie chciała żadnej służącej, wszystko robiła sama. Wysiadł i szybkim krokiem, trzymając mocno szablę, żeby mu się nie plątała między nogami, wszedł do budynku szkoły. Biegł po schodach, bo już był spóźniony. Wpadł jeszcze do gabinetu, żeby zabrać konspekt zajęć i pustym korytarzem ruszył w stronę sali wykładowej. Głośno stuknęły o posadzkę jego podkute buty.

Pomieszczenie do którego wszedł było puste. Nie było w nim podchorążych. Dopiero teraz uderzyła go ta dziwna pustka, panująca w całej szkole, słyszał jak otwarte okna stukają o siebie, poruszane przeciągiem w którym stał. Wrócił do gabinetu i zadzwonił do dyżurnego - dowiedział się, że studenci są jeszcze na strzelaniu na Bielkach. Usiadł uspokojony. Naprzeciwko niego rozciągała się jasna, radosna zieleń Parku Łazienkowskiego, przecie wiosna była w rozkwicie, i tam, za metalowym ogrodzeniem, robotnicy rozpoczęli budowę cokołu, na którym niedługo miał stanąć pomnik Chopina. Przypomniał sobie, że widział jego projekt chyba w „Kurierze Literacko-Naukowym”, i pomyślał, że jest prosty i przejmujący.

Wierzba rozwiana na wietrze, a pod nią Fryderyk - cieszył się już na ten widok, że będzie mógł go oglądać z okna swojego gabinetu każdego dnia.

Korzystając z wolnej chwili zagłębił się w kolejny rozdział traktatu Clausewitza, i czytał go w oryginale, robiąc w notatniku uwagi do ćwiczeń na zajęcia z podchorążymi. Miał też nadzieję, że przydadzą mu się te materiały na studiach w szkole wojennej, które już niedługo miał rozpocząć - dostał właśnie dzisiaj na to zgodę od dowódcy. Jakże się ucieszył, gdyż było to spełnienie jego marzeń, służba w Sztabie Generalnym, tym bardziej, że nie lubił działań w polu, raczej pasjonowała go taktyka i strategia, jako sztuka wojenna. I będę mógł założyć czarne spodnie z amarantową wypustką, bo takie mają prawo nosić oficerowie sztabu, a ja lubię ten kolor. Wszystko mi się dobrze układa, czego sobie zapragnę, to natychmiast dostaję, i pomyślał, że niesie go los na szczęśliwej fali od ślubu, a może to dzięki modlitwom Marion? Uśmiechnął się na wspomnienie, gdy widział ją przed chwilą z tramwaju, gdy myła okna, firanka powiewała na wietrze, a ona z taką naturalną gracją się poruszała – i już cieszył się na szybki powrót do domu, na smaczny obiad, popatrzył na zegarek, jeszcze tylko dwie godziny.

Zatrzymał się na moment w lekturze książki i zastanowił nad myślą, którą wyczytał, że wojna jest tylko kontynuacją polityki, a także aktem przemocy, żeby rozbroić przeciwnika i nagiąć go do naszej woli. Wojna jest aktem przemocy, powtórzył sobie głośno, i nie ma granic dla niej... - zgodził się z tezą, przywołując wspomnienia. Jednak zawsze wtedy odzywało się w nim natychmiast to - nie zabijaj! Przeszła mu też przez głowę krótka refleksja, że każdy kto po tej strasznej wojnie czternastego roku, i po śmiertelnym boju z bolszewikami, podejmuje rozważania nad istotą wojen, ten musi w swojej psychice zbudować mur, mocny mur, oddzielający inteligencję od współczucia. Po chwili jednak myśl ta wydała mu się za prosta, niegodna jego dalszych rozważań, zapewne na studiach będę miał okazję do ćwiczeń umysłowych wyższego rzędu... I jeszcze jeden fragment wydał mu się ciekawy, o rodzeniu się nienawiści, więc zapisał sobie, że jeśli na początku nie ma wrogości między stojącymi pod bronią stronami, to gdy akt przemocy zostanie popełniony, czyli mówiąc jasno, jeden zabije drugiego, wtedy zaraz wzbudzi się chęć odwetu. I nie będzie to chęć zemsty na dowódcy, który wydał rozkaz, lecz każdy z każdym, rzuci się do gardła przeciwnikowi z zajadłością dzikiego zwierza, a nie człowieka... - odłożył traktat, rozczarowany, nie znalazł w nim niczego co by nie wiedział z własnych doświadczeń. I wtedy zadzwonił telefon. To był oficer z Rembertowa, który z polecenia komendanta zawiadamiał go, że Szkoła Podchorążych, ze względu na sytuację, powróci w ciągu dnia z obozu letniego do Warszawy. I dodał na koniec poufałym głosem:

- Szerzą się wiadomości, że wczoraj w nocy był napad na willę marszałka Józefa

Piłsudskiego w Sulejówku. Bandyci ostrzelali dom, a zapłacił im premier Witos... Sprawdziliśmy, że to są plotki!

I odłożył słuchawkę.

- Przez endeków czy socjalistów rozsiewane?... Chyba socjalistom byłoby to na rękę - zastanawiał się Janio przez chwilę.

Znowu zabręczał ostry dźwięk dzwonka. Tym razem odezwał się oficer z Komendy Miasta. Zdenerwowanym głosem, prawie krzycząc w słuchawkę, wydał mu rozkaz:

- Oficerska Szkoła Piechoty, w pełnym uzbrojeniu, ma zamknąć most Poniatowskiego i nikogo z Pragi nie wpuszczać do miasta. Rozdać podchorążym natychmiast ostrą amunicję!

Zaskoczył go ten ton i polecenie, przez ułamek sekundy trwał w odrętwieniu, zaraz jednak opanował się, i odpowiedział ze spokojem:

- Rozkaz przyjąłem. Będę go mógł wykonać po powrocie kompanii z Bielán, gdzie odbywa strzelanie zgodnie z programem.

I nic więcej. Rozmowa się skończyła. Nagle przebudził się z tego uśpienia, z sielanki w jakiej trwał od miesiąca. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Co się dzieje?! - myślał gorączkowo i natychmiast wydał dyżurnemu rozkaz, aby jak najszybciej ściągnął podchorążych z Bielán.

- Co się dzieje!?! - tym razem krzyknął, a właściwie zaklął, czego już dawno nie czynił, jakby chciał powstrzymać nadchodzące chwile, które zburzą jego spokój. I gdzieś w głowie przyplątała mu się myśl z Clausewitza, że źle prowadzona polityka, jest tak samo niebezpieczna jak źle prowadzona wojna. Brzęczało mu to zdanie niemieckiego stratega, jak latająca w ciemnościach mucha, której nie można schwycić i uciszyć. Teraz dopiero powoli wracała mu jasność widzenia, uśpiona w czasie podróży poślubnej, i jakby zamazana przeżyciami z Ziemi Świętej.

Zszedł do magazyniera i uprzedził go, aby przejrzał karabiny maszynowe, które szkoła miała na wyposażeniu, i żeby przygotował magazynki z ostrą amunicją do mauserów dla każdego z podchorążych. Potem wrócił do gabinetu i jeszcze próbował przeglądać regulaminy, ale w głowie miał pustkę, siedział więc w bezczynności i co chwila wyglądał przez okno, czy już może widać wracających żołnierzy. To trwało prawie dwie godziny, a on tak chodził od ściany do ściany, jak zamknięte w klatce zwierzę. Wreszcie zobaczył ich, zmęczonych, zakurzonych. Nie było czasu, żeby się mogli wymyć i odpocząć, natychmiast wydano im amunicję, i na jego rozkaz stanął cały batalion szkolny, na placu zbiórki w rejonie gmachu. Na twarzach młodych ludzi zobaczył Janio napięcie i niepokój. Przemówił do nich krótko, bez zbędnych słów:

- Oficerska Szkoła Piechoty dostała ważne zadanie. Oczekują nas trudne chwile, toteż przypominam o wzorowym wykonywaniu rozkazów. Nie możemy zawieść pokładanego w nas zaufania.

Wydał rozkaz dowódcom kompanii i kolumna czwórkowa wyruszyła w kierunku Mostu Poniatowskiego, a gdy spojrzął na zegarek, była godzina piętnasta. Niebawem minęli zaprzyjaźnioną szkołę podchorążych sanitarnych, rozłożoną w pobliskim Zamku Ujazdowskim, tuż przy Agrykoli, a stamtąd powitały ich radosne okrzyki młodych sanitariuszy, ich kolegów z ćwiczeń, więc zaraz zrobiło się w szeregach weselej i nastrój wyraźnie się poprawił. Maszerowali równo przez plac Na Rozdrożu i Janio znowu mógł spojrzeć w okno swojego mieszkania, lecz tym razem nie dostrzegł Marion, pomyślał tylko z żalem, że będzie czekać na niego z obiadem i odgrzewać go raz po raz, aby, jak przyjdzie, wszystko było świeże i gorące. Szli dalej szybkim krokiem Alejami Ujazdowskimi i po niewielu minutach byli już na moście. I wtedy zobaczyli jak od strony ulicy Nowy Świat wyjechała limuzyna prezydenta i właśnie skręcała na wiadukt. Zebrani na ulicy ludzie niechętnie się przed nią rozstąpili, a zaraz potem okrzyki się rozległy, rzucone w ślad za samochodem. Były tak głośne i równo wznoszone, jakby zawczasu przygotowane, że rozpoznał Janio bez trudu poszczególne słowa:

- Precz z rządem Witosa! Na szubienicę z nim!... Niech żyje Marszałek!!!

I zagrzmiało to jak grom z nieba, a policja z trudem zamykała szczelnym kordonem ulicę, uniemożliwiając zebranej licznie gawiedzi dostęp do miejsca działań wojskowych.

Na wiadukcie mostu kręciło się kilkunastu ułanów na koniach, jeździli wkoło przed barykadą, a raczej jej namiastką, w postaci przewróconego wozu ze słomą i skrzyń drewnianych, rozstawionych przez wojska rządowe na wysokości przyczółka. Tam właśnie dotarł samochód i zatrzymał się, a po chwili wysiadł z niego Prezydent. Janio pobiegł w jego stronę, i gdy się zbliżył, zasalutował, wyprężony jak struna, a potem zameldował przybycie szkoły, jej stan liczebny, uzbrojenie... Usłyszał od Prezydenta jasne polecenie:

- Ma pan kapitan zamknąć most i nikogo tu nie wpuścić!
- Rozkaz, panie Prezydencie!

I dalej działał jak w transie, wróciła mu pewność siebie i zobaczył jasno swoje zadanie.

- Oczyszczyć teren z osób cywilnych! – to jest najważniejsze, pomyślał, gdyż stanęły mu przed oczyma niedawne wydarzenia z Krakowa, gdzie z powodu błędów wojska niepotrzebnie zginęli ludzie. Rozsypała się zaraz część podchorążych w tyralierę, usunęli gapiów i młodzież szkolną z wiaduktu, a także zamknęli dostęp do niego, tarasując samochodami pancernymi ulicę Nowy Świat. Nakazał jeszcze Janio zabezpieczyć dojście do schodów, aby nikt z Solca, spod podpór mostu nie mógł się tu dostać. Na koniec rozstawił karabiny maszynowe i był gotów.

- Ale do czego?... - zadał sobie nagle to pytanie, rozkaz rozkazem, lecz gdzie są racje...

Popatrzył w stronę Prezydenta, stojącego samotnie po północnej stronie wiaduktu, i patrzącego nieruchomo na wartko płynącą Wisłę. On też bezwiednie skierował wzrok w dół, jakby tam szukając odpowiedzi na swoje pytanie, lecz ujrzał tylko pieniaące się białoszare wiry i połamane drzewa, które woda niosła przed siebie, po ostatnich wiosennych deszczach. Nadal miał dziwną pustkę w głowie, jak- by nie mógł dotknąć rzeczywistości, zdawało mu się, że to jest tylko sen. Widział po drugiej stronie tej śmiesznej barykady ułanów z pułku szwoleżerów, ich amarantowe otoki na czapkach i srebrne proporczyki. Przypomniał mu się moment, gdy na dziedzińcu Belwederu święcono ich sztandar, a sam Komendant wbił wtedy w drzewce gwóźdź z napisem - Wilno. Zazdrościł im srokatych koni dla buńczuka i proporca... To oni walczyli z konnicą Budionnego!

- *Trochę panów i malarzy, to jest pierwszy pułk koniarzy...* - przyplątała mu się żurawiejka, a po niej następną: - *Zawsze dumny z szefa swego, to szwoleżer Piłsudskiego...*

Uśmiechnął się bezwiednie w tych nerwach i zanucił jeszcze jedną, którą sam kiedyś ułożył i grał na spotkaniach towarzyskich:

- *Szwolężery kręcą głową, chcą być Gwardią Narodową,  
Siedzą sobie tak w Warszawie, przy kieliszku i przy kawie...*

Właśnie dostrzegł za barykadą majora Strzeleckiego, który nimi dowodził - chciał mu machnąć ręką, że tu jest - nie raz wspólnie z nim śpiewał te żurawiejki, przelotne pieśni z bolszewickiej wojny, niby żurawie lecące w nieznaną. A teraz stoją po przeciwnych stronach, z czyjego wyroku?

Przerwał te myśli, bo oto od Pragi, z tamtego brzegu, zbliżał się szybko czarny samochód. Ruch się zaraz pośród szwoleżerów zrobił, załopotwały na wietrze ich srebrne proporczyki z amarantowymi paskami, a z pojazdu wysiadło kilka osób. Gdy się nieco przybliżyli rozpoznał natychmiast, między innymi postaciami, Komendanta. Był ubrany w błękitny mundur marszałka, a obok niego siedział pułkownik Wieniawa i jeszcze dwóch adiutantów. Serce zabiło mocniej, i ścisnął ze wzruszenia Janio szablę - bezwiednie. I pobiegł na spotkanie, lekko, jak na skrzydłach, i złożył meldunek Marszałkowi. Taki sam jak poprzednio przed Prezydentem, może tylko z tą różnicą, że bardziej był cały naprężony, a głos mu drżał z przejęcia - stał przecież przed Naczelnikiem Państwa, ale także przed człowiekiem, który go lubił, jakby synem rodzonym był. Skinął mu w odpowiedzi głową, pochylony lekko i rękę powoli unosił do maciejówki. Szwoleżerowie tymczasem przejście zrobili w barykadzie, wóz z sianem przepychając na brzeg jezdnii, i zaraz przeszedł tamtędy Prezydent Wojciechowski, wysoki i niezwykle szczupły mężczyzna. I ruszył mu naprzeciw Marszałek Piłsudski, a już z kilku

kroków, wyciągał pierwszy swą dłoń na powitanie, lecz ten gest nie został odwzajemniony i ręka zawisała w powietrzu. Zatrzymali się w pobliżu chodnika, a Janio, który posuwał się jak cień w ślad za swoim Komendantem, wszak na służbie był, cofnął się dopiero wtedy, gdy tamci stali twarzą w twarz - a on ze środka wiaduktu oddawał im szablą honory, jakby ich sekundantem był. Nie wszystko słyszał, jednak ich podniecone głosy dochodziły do niego.

- Stoję tu na straży honoru wojska polskiego!... - zaczął Prezydent.

- No, no! Tylko nie w ten sposób... - wzburzył się Piłsudski i wziął tamtego pod ramię, a potem zduszonym głosem tłumaczył i przekonywał, ale rozmówca jego trwał w uporze.

- Reprezentuję tutaj Polskę.

I odwrócił się Wojciechowski, wyniosły, wyprostowany jak świeca, a przy nim pochylony Komendant, który niemal siłą pociągnął go ku balustradzie. Widział Janio, że był przejęty, że mówił do tamtego, jak do dawnego towarzysza, przecież w tej samej partii byli, to on na prezydenta go wysunął... W pewnej chwili wpadły mu w uszy pełne irytacji słowa, chyba:

- Gromnico! Opamiętaj się...! Nic tu nie wystoisz...

I raczej miało to być przyjacielskie szturchnięcie, poufałość, na którą można sobie pozwolić, gdy się ludzie dobrze znają, lecz tamten zeszywniał wtedy jeszcze bardziej.

Widział Janio jak twarz mu stężała i dosłyszał:

- Niech pan odeśle wojsko do koszar... Legalna droga...

I w tym momencie Piłsudski pełen irytacji, rzucił twardo: - Niech pan mi nie przeszkadza. Zapewniam pana, że nic się nie stanie ani panu, ani tym żołnierzom! - chwycił Prezydenta za klapy płaszcza, i uniósł dłoń ,jakby przysięgał, że nie zamierza nikomu czynić krzywdy... Zrozumiał Janio, że Marszałek nalega na przepuszczenie do Warszawy, ale także prosi o to.

Uwolnił się Wojciechowski, z niesmakiem przyjmując tę sytuację - nastąpiła ostateczna odmowa, szybko odchodził do samochodu.

- A ja i tak przejdę... - doszło go rzucone w gniewie zdanie, lecz nie odwrócił się już. Janio szedł tuż za nim, odprowadzając Prezydenta, jako swego zwierzchnika, znał przecież swoje powinności. Adiutant przyboczny szybko otworzył drzwi, a wtedy padły słowa mocne i poczuł Janio na sobie spojrzenie chłodne i przenikliwe, i dotarło do niego znaczenie rozkazu:

- Nie wolno panu przepuścić żołnierzy Piłsudskiego przez most!

Nie Marszałka, nie Komendanta, tylko Piłsudskiego, uderzyło go to. Samochód z Prezydentem odjechał w stronę miasta.

Pustka się nagle zrobiła na moście i wydawało się przez chwilę, że pozostawieni tu sobie samym oficerowie spacerowali od jednej balustrady, przez tory tramwajowe, do drugiej kamiennej balustrady, jakby w poczuciu niepewności, a może przegranej, tak to odebrał Janio



- i nerwowość pewna im towarzyszyła. Jemu też się to udzieliło, a intuicja nakazała mu iść w kierunku Komendanta, czuł to bezwiednie, całym sobą, że tylko tam znajdzie ratunek - nie miał jasności w głowie, przeciwnie panował w niej zamęt. Szedł, tak jak ćma leci do światła, umysł jego notował tylko prozaiczne fakty, że stoi ten, który ma mu dać odpowiedź co robić dalej - w pobliżu południowego chodnika wiaduktu, oparty o balustradę, otoczony adiutantami. I oni to właśnie oderwali się od tej grupy, i zagrodzili mu przejście. I zaraz zaczęli przekonywać, żeby im drogę do Warszawy otworzył, wbrew rozkazowi Prezydenta Rzeczypospolitej. Powtarzali to cicho i natrętnie, podwyższając jego stopień wojskowy, że zaraz za swe zasługi znowu awans dostanie i świetlana przyszłość się przed nim roztoczy, sączyli mu to niby jakiś jad do ucha, aż dreszcz go przeszedł. A niedaleko od nich stał Wieniawa, ale odwrócił głowę i patrzył w rzekę zamyślony, nieobecny, jakby nie chciał być świadkiem w tych namowach. I dostrzegł go w końcu Komendant, spoczęło na nim jego spojrzenie. Podeszedł powoli, choć przecież po tej stronie mostu byli starsi rangą od Jania oficerowie, i to ich mógł wybrać, ale widać z tamtymi nie chciał rozmawiać. Jego znał i jemu ufał. I padło tylko jedno słowo z ust jego:

- Janio...

Ugięły się pod nim kolana. Poczuł, że tak blisko nigdy jeszcze nie byli z sobą. Wódz i żołnierz. Czekał tamten na odpowiedź. I nagle jakaś siła, większa od Jania, i od wszystkiego co go otaczało w tym momencie, kazała mu wypowiedzieć słowa:

- Panie Marszałku, melduję, że przez wszystkie lata mej służby nauczyłem podchorążych wykonywać rozkazy!

Stał długo przed nim Marszałek.

Wydawało się, że minęła wieczność. Spojrzeli sobie w oczy. Rozczarowanie i wielki smutek, w tamtych szarych oczach. To dotarło do Jania. Tylko to.

I odwrócił się powoli od niego Komendant jego.

Chciał jeszcze Janio krzyknąć, wytłumaczyć, poprosić, żeby poczekał... Nie mógł wydobyć słowa, gardło ściśnięte miał, jak zamurowane. Uznał Marszałek odmowę jego za ostateczną, podeszedł do podchorążych zamykających wiadukt i rzucił pytanie:

- Nie przepuście mnie, dzieci?

Skrzyżowali karabiny i zawołali:

- Nie przepuścimy.

I jeszcze raz się do nich odezwał:

- Strzelać będziecie do mnie?

Cisza zapadła śmiertelna i nagle usłyszał Janio gromki okrzyk swoich podchorążych:

- Niech żyje Prezydent Rzeczypospolitej!

A zaraz potem usłyszał swój głos, jakby zza ściany. I wydał im rozkaz: - Ładować!

Rozległ się metaliczny szczepek zamków, twarze młodych żołnierzy znieruchomiały.

Zdażył tylko pomyśleć, że oni zdali egzamin. A on, jako ich dowódca - nie! Mocno go zabolalo serce. Stał przed dwuszeregiem i patrzył jak Marszałek odchodzi do grupy oficerów, z którymi przyjechał, i mówi do Wieniawy: - To źle... - a potem odwraca się i rzuca w stronę podchorążych, i już nie w stronę Jania, ich dowódcy przecież, lecz unikając jego oczu, jakby go tu nie było: - Odjeżdżam, ale wrócę. Na ten czas pozostawiam Wieniawę!

Jako kogo, zakładnika, świadka, czy ma zostać dlatego, że jest mi bliski, ach, to ma być mój wyrzut sumienia?!... Myślał gorączkowo, nie znajdując żadnej odpowiedzi, sam wobec wyzwania losu. A może Bóg to zrządził? Dlaczego?! I taka myśl gorzka, smutna, tragiczna – jak wyrok na Sądzie Ostatecznym - przemknęła mu teraz przez głowę.

Stał, jakby już martwy był, i zobaczył Marszałka wsiadającego do samochodu.

I już tamten odjechał.

A przed nim przepaść się otworzyła.

Niedługo potem przyjechał z Komendy Miasta oficer z pisemnym rozkazem aresztowania pułkownika Wieniawy. I wzięli go między siebie i prowadzili, jak złoczyńcę do pojazdu, który dojechał aż do barykady w połowie mostu. Szedł dumnie, z podniesioną głową, lecz w pewnej chwili odwrócił ją do tyłu i odnalazł spojrzeniem Jania. Jego oczy zdawały się mówić: - Nic nie zrobisz?... Nawet nie powiesz, że miałem tu zostać jako zakładnik... Czyż nie pojmujesz kim jest zakładnik?!

Patrzył na niego, ciągle z tą głową odwróconą do tyłu. I patrzył na człowieka, z którym się przyjaźnił, u którego był tak niedawno świadkiem na ślubie, a w jego wzroku pojawiło się najpierw zdumienie, a potem jakby na Judasza patrzył, i pytał: - Za co mnie sprzedałeś? Czyż nie pomogłem ci w awansie? W przeniesieniu do Warszawy?...

Zadrzał Janio. I nic nie zrobił, nawet najmniejszego gestu nie wykonał. Najgorsze, czarne myśli mu tylko przychodziły do głowy, pełne diabelskich podszeptów. Zło coraz mocniej go ogarniało.

Tamci odjechali.

Smutne spojrzenie Wieniawy zostało w nim jednak.

Co z oczu, to z serca, znowu szyderstwem broniło się jego jestestwo. Niech jedzie!

I znowu kolejny samochód zmierzał w jego stronę. Tym razem wysiadł generał, Komendant Miasta. Zebrał się w sobie Janio i zdał meldunek. Na koniec zapytał:

- Czy mam zająć most siłą ognia? - Zadał to rozpaczliwe pytanie w nadziei, że otrzyma pomoc, lecz usłyszał tylko: - Niech pan robi, jak pan uważa...

Umył ręce generał, jak Piłat. I też po chwili się oddalił.

Zostawili mnie samego. Wściekłość go pochwyliła w swe objęcia, Boże, żeby choć Marion tu była!

Musiał działać, podchorążowie na niego patrzyli. Przypomniawszy sobie majora Strzeleckiego, który stał z tamtej strony mostu. Dla mnie już nie ma odwrotu, pomyślał, jak tylko pójść do niego, choćby mnie mieli zastrzelić jak zdradzieckiego psa - znowu ten nastrój piekielny go dopadł. I szedł samotnie ku tamtym, przekraczając barykadę, a za nim patrzyli jego podchorążowie, czuł ich spojrzenia na swoich plecach - wiedział, że go lubią. Nie żał byłoby zginąć. Tylko Marioli...

Był coraz bliżej. Ruch między szwoleżerami się zrobił, jakby się zastanawiali jak go przywitać, czy szablą na płask przez głowę?...

Zatrzymał się. I wtedy spośród kilkunastu koni jeden wyskoczył do przodu, a na nim mocno siedział jeździec w randze majora. To był ten, z którym żurawiejki śpiewał, dowódca pułku, Piłsudskiemu wiemy. Zatrzymał się przed nim blisko, górował, siedząc na roslym, wysokim srokaczu. I spojrzał Janiowi prosto w oczy. I obaj jednocześnie głowy odwrócili. Nie powiedzieli ani słowa. Spiął konia tamten i wrócił do swoich szwoleżerów. Usłyszał Janio, jak twardym i donośnym głosem rozkaz wydawał, że wycofują się na Pragę.

Nie mógłby jeden do drugiego strzelić.

Odstąpili.

Puścił zaraz Janio na przyczółek po tamtej stronie swoich podchorążych.

I rozległa się salwa, pierwsza, i kolejne, rozdzierające ciszę panującą dotąd. Oddali żołnierze na jego znak strzały ostrzegawcze nad głowami, aby oznajmić, że cały wiadukt jest już rządowy, i żeby cywile wiedzieli, że nie wolno tędy chodzić, bo grozi to śmiercią.

Nagle dopadły go wyrzuty sumienia - zachowałem się jak żołdak, wierny regulaminom i musztrze, moja twarz prawnika się ukazała, zimna, który wierzy tylko w literę... Dopiero teraz pomyślał w ten sposób. I gdzie się podział żołnierz - pianista?

Nie, jeszcze inna myśl się pojawiła. Bóg dozwolił, że nikt nie zginął. I uwierzył Janio, że modlitwy Marion to sprawiły.

Poczuł się śmiertelnie zmęczony.